



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. **1.50**
W Małop. i b. okup. austr. K. **2.50**
Kwartalnie Mk. 15.—
W Małop. i b. okup. austr. K. 25.—
Wiersz inseratowy. . Mk. 2.—

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.
Telefon 78-86.
Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Republika Ludowa.

Z powodu pierwszej rocznicy.

Rok największych w Polsce zmian i przewrotów zbliża się ku końcowi. Po upadku caratu, dokonanego przez rewolucję robotników i liberalnego mieszczaństwa, Polska zdawała się być tym pewniejszym łupem mocarstw centralnych: Niemiec i Austrii. Buta niemiecka i obluda austrijska nie znały granic. W Polsce doszły do władzy te żywioły, które albo świadomie chciały połączenia Polski z Niemcami i Austrią, albo przyjęły tę zależność jako konieczny wynik wojny światowej i wedle tego się „urządziły“...

Piłsudski siedział w więzieniu magdeburckim, a z niepodległościowcami zaczęto zająć walkę w Królestwie i Galicji. „Polska Organizacja Wojskowa“, socjaliści i ludowcy przygotowywali na wszystkich polach zacięty odpór polskiego ludu. Narodowa Demokracja załamała swoją linię ufności w „ententę“ i przyjęła „władzę“ z rąk Rady Regencyjnej. Dała dwa firmowe

nazwiska, pp. dr. Świerzyńskiego i dr. Głabińskiego do gabinetu Rady Regencyjnej. W tym samym czasie, kiedy P. P. S. organizowała w Galicji uzbrojenie robotników, a w Królestwie strzelała do szpiegów niemieckich i na ulicy Warszawy położyła trupem głównego ich wodza Schultzego.

Nie złożył broni żołnierz Piłsudskiego, robotnik i chłop i gdyby Niemcy byli zwyciężyli, wytworzyłyby się odwieczne dwa obozy w niewolnej Polsce: ugodowców z prawicą, aktywistami i narodowymi demokratami i walczących rewolucjonistów, rekrutujących się z robotników, chłopów i garści młodzieży. Ramy tych dwu obozów już się formowały, już rozdział się dokonywał. Przez sprostytuowanie się części narodowej demokracji, która była w najfałszywszem położeniu, jako „przednia straż” koalicji, przyjmująca równocześnie ministerjalną władzę z rąk Rady Regencyjnej, przez jej „głód posad”, tego raka toczącego Narodową Demokrację, zdecydowała się ona na pójście do obozu ugodowego i sądziła, że sprawa skończona.

Rachunek popsuł robotnik i chłop polski. Wypadki końcowych dni października i pierwszych dni listopada 1918 roku koncentrują się w trzech obozach ludowych: w socjalistycznym, chłopsko-wyzwoleńczym i lewicowej inteligencji. Przygotowywa się wielki ruch, zmierzający do wybuchu. Planowo odbywa się rozwój P. O. W., tej podziemnej armii polskiej, planowo dokonywa się połączenie do współdziałania ludzi politycznych. Tysięczne przygotowania zmierzają do obalenia niewoli niemiecko - austriackiej i jej narzędzia w Polsce: Rady Regencyjnej, trzymanej tylko bagnetami pruskiemi.

Dopóki moc niemiecka panowała w Warszawie, nie można było rychło przeciw niej wystąpić zbrojnie. Pozostawała część Polski pod „rządami” Austriaków. Rządy te były tak słabe i zdemoralizowane, że na ich terenie najłatwiej było wywołać ruch wyzwolenczy. Hasło daje Kraków. Historia powtórzyła się w zmienionych wprowadzie formach... Ale Kraków nie wywiesił sztandaru państwa polskiego. Oglądał się na Królestwo. Tymczasem Warszawa milczała. Rząd Świerzyńskiego — Głabińskiego nie wiedział sam, co ma robić i zapadł się w nicość, jak przystało na karykaturalne zero... Któż miał ogłosić Polskę Niepodległą?

Zrobili to przedstawiciele robotników, chłopów i lewicowej inteligencji w Lublinie. Zrobili to, co było koniecznością położenia: Ogłosili Polskę, jako Niepodległą Republikę Ludową i utworzyli Rząd Tymczasowy tej Republiki. Rząd ten istniał tydzień. Z tego krótkiego żywota natrzęsali się narodowi demokraci, zrozpaczeni, że nie potrafili przewidzieć wypadków nawet na tydzień i tuż przed przewrotem narodowej egzystencji poszli na

służbę Rady Regencyjnej. Tymczasem właśnie w tem leżał rozum polityków ludowych, że nie wywołali żadnego zamętu w Polsce i szli z biegiem wypadków w myśl swoich zamiarów. Dn. 7 listopada proklamowano w Lublinie Republikę i wybrano pierwszy rząd, dnia 10 listopada wraca Piłsudski z niewoli, a 11 listopada pada moc pruska w stolicy. Rząd ludowy przenosi się do stolicy, porozumiewa się z Piłsudskim, czyni Warszawę siedzibą rządu i zmienia odpowiednio do tych wypadków swój skład, nie upierając się ani dnia przy osobistościach ministerjalnych, dokonywując rekonstrukcji w przeciągu dni czterech, podczas kiedy przedtem np. p. Kucharzewski tygodniami nie mógł sklecić gabinetu, a potem p. Paderewski miesiącami nie umiał znaleźć poszczególnych ministrów.

W odmiecie wypadków, w szalonym tempie zmian najradykalniejszych w Europie, zwalczany wewnątrz przez dziką wprost walkę wszystkiego co w Polsce było reakcyjnym, bogacącym się, walczącym o władzę i wpływy w sferach bogatszych, bez broni dla wojska, bez pieniędzy, bez aparatu urzędniczego, bez niczego, co gdzieindziej pokolenia przygotowały, rząd lubelski, a po nim rząd ludowy ogłosił i uratował Polskę, jako Niepodległą Republikę.

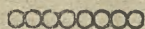
Dni październikowe i listopadowe są dniami ogromnego wyczerpania sił polskiej demokracji społecznej, zwycięsko realizującej hasła narodowe, polityczne i społeczne Ludu polskiego.

Rocznice powstania Republiki Ludowej należy obchodzić uroczystie. Nie dla uroczystości i bezmyślnych zbiegowisk tych, co z Republiką Ludową nic nie mają wspólnego, lecz dla skoncentrowanego rozważenia publicznego, czem był ten pierwszy rząd istnienia Rzeczypospolitej Polskiej, jakie w niej wyłoniły się siły i czynniki, dokąd zmierzają, co zapowiadają.

Republika polska jest formą, która musi dostać ożywczą treść społeczną i polityczną. Republikę polską trzeba rozwijać, trzeba jej bronić.

Niechajże pierwsza rocznica zgromadzi ludzi, którzy budują Polskę, nie tylko Niepodległą, ale i Ludową!

Proponujemy w pierwszą rocznicę zwołanie Zjazdu w Lublinie.



Rozwiane złudzenia.

(O t. zw. Lidze Narodów).

I.

Wojna światowa, według zapowiedzi kierujących mężów stanu ententy, miała być ostatnią z wojen. Zniszczenie militarystyki pruskiej miało stworzyć nową erę w dziejach ludzkości, erę powszechnego pokoju, opartego na panowaniu prawa i sprawiedliwości nad brutalną siłą. Głównym narzędziem nowego porządku świata miała być Liga Narodów, obejmująca ludzkość całą i zapewniająca każdemu narodowi, wielkiemu i małemu, silnemu i słabemu, należne mu prawa. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych pierwszy ideę Ligi Narodów wprowadził do polityki oficjalnej i uczynił ją punktem programowym rządu jednego z największych mocarstw świata, najszerze koła wszystkich narodów powitały z zapalem tę inicjatywę. Udział Ameryki w wojnie miał przedewszystkiem służyć urzeczywistnieniu Ligi Narodów. Dzięki hasłu Ligi Narodów, prezydent Wilson zdołał przezwyciężyć bardzo silny opór wśród własnego społeczeństwa przeciw bezprzykładowemu w dziejach Unji mieszanu się do spraw europejskich.

Wojna światowa zakończyła się zupełnem zwycięstwem koalicji. Ze strony pokonanego przeciwnika nie należało się obawiać żadnego oporu przeciw wprowadzeniu w życie programu Wilsona. Trudność cała leżała po stronie sprzymierzeńców, których rządy reprezentowały stare metody i tradycje polityczne, a do zasadniczych idei Wilsona odnosiły się w gruncie rzeczy bezwzględnie wrogo, pomimo pozorów uznania i zapalu dla nich. Natomiast z największym entuzjazmem powitała klasa robotnicza wszystkich państw koalicji program polityczny Wilsona i liczyła na to, że prezydentowi uda się przezwyciężyć prądy imperjalistyczne wśród ententy i doprowadzić do skutku pokój, odpowiadający słynnym 14 punktom Wilsona. Przeciw manifestacjom robotniczym na cześć prezydenta w chwili jego przyjazdu na konferencję pokojową, rząd p. Clemenceau zmobilizował policję i wojsko. Położenie było tego rodzaju, że tylko apel do mas pracujących Anglii, Francji i Włoch przeciw imperjalistycznym rządóm mógł zapewnić Wilsonowi przynajmniej częściowy tryumf na konferencji paryskiej. Byłby to krok niewątpliwie rewolucyjny, bezprzykładowy i ryzykowny, ale jedynie prowadzący do celu. ,

Wilson nie wszedł na tę drogę, owszem skapitulował na całej linii przed piętnowaną przez siebie tajną dyplomacją. Duch Talley-

randa i Castlereagha panował na konferencji paryskiej. Czterech, a faktycznie tylko trzech ludzi w najgłębszej tajemnicy rozstrzygało o losach świata. Zaiste kongres wiedeński mógłby się od demokratycznych mężów stanu r. 1919 nauczyć, jak się usuwa narody od decyzji o nich. Rezultaty odpowiadają też w zupełności metodzie stosowanej dla ich osiągnięcia. Pierwszym z nich był pakt Ligi Narodów, uchwalony na plenarnem posiedzeniu konferencji paryskiej 28 kwietnia 1919 r. Ażeby akt ten należycie ocenić, trzeba go traktować w związku z całym dziełem konferencji pokojowej, którego zresztą stanowi część integralną, gdyż jest wcielony do wszystkich traktatów pokojowych.

Wstęp do paktu z 28 kwietnia 1919 r. ogłasza jako cel Ligi Narodów rozwój współdziałania pomiędzy narodami i zapewnienie im pokoju i bezpieczeństwa. Dla osiągnięcia tego celu pakt uznaje za konieczne przyjęcie pewnych zobowiązań ze strony państw, iż nie będą się uciekać do wojny, oraz utrzymywanie jawnych stosunków międzynarodowych, opartych na sprawiedliwości i honorze, dalej ściśle przestrzeganie przepisów prawa międzynarodowego oraz zobowiązań umownych pomiędzy narodami. W istocie są to zasadnicze warunki trwałego pokoju, tylko ich porządek logiczny i rzeczowy jest odwrócony. Okoliczność ta nie jest bez znaczenia, uwidocznia bowiem zasadniczy błąd paktu i wogóle całej roboty konferencji pokojowej. W zabiegach swych o uchronienie ludzkości przed katastrofą w rodzaju wojny światowej, petenci konferencji paryskiej postąpili na podobieństwo doktorów, którzyby, zamiast zwalczać i usunąć przyczyny choroby, ograniczyli się do łagodzenia jej objawów. Metoda taka na dłuższą metę musi zawieść i nie jest zdolna odwrócić ostatecznej katastrofy. Trwały pokój jest możliwy tylko w razie usunięcia przyczyn wojny. Ażeby ocenić, co pakt Ligi Narodów oraz późniejsze akty konferencji paryskiej działały w tym kierunku, trzeba uprzytomnić sobie istotny charakter najważniejszych przyczyn wojny.

Każda wojna jest następstwem konfliktu interesów. Atoli nie każdy konflikt interesów musi prowadzić do wojny. Koniecznym warunkiem potemu jest przeświadczenie przynajmniej u jednej strony, że dla rozstrzygnięcia konfliktu dopuszczalnym, a nawet wskazanym jest odwołanie się do siły brutalnej. Prawo silniejszego panuje od początków ludzkości do dnia dzisiejszego w stosunkach międzynarodowych. Hasło *vae victis* nie straciło nic ze swej mocy od czasów Brennusa.

Na prawie silniejszego opiera się imperjalizm i nacjonalizm, dwa najgłówniejsze źródła wojny. Imperjalizm jest zjawiskiem nadzwyczaj prostem, którego istota jednak w literaturze socjalistycznej uległa zaciemnieniu z powodu łączenia go specjalnie z kapitalizmem. Pogląd, jakoby imperjalizm był nieodłączną cechą lub konsekwencją ustroju kapitalistycznego, jest z gruntu fałszywy. Największe imperja

starożytności i wieków średnich wyrosły na podłożu zgoła niekapita-listycznym. A i w nowożytnej dobie powstanie i rozwój takiego klasycznego tworu imperjalizmu, jak państwo carów, nie miało nic wspólnego z kapitalizmem. Cóż dopiero mówić o czysto dynastycznych imperjach, jak monarchja habsburska.

Imperjalizm jest tylko dążeniem do poddania przemocą władzy odnośnego państwa obszarów, których ludność panowania tego nie chce. Motywy natury narodowej, wyznaniowej, społecznej czy gospodarczej, z jakich to dążenie wypływa, istoty imperjalizmu nie mogą w niczem zmienić. Tak określony imperjalizm jest zjawiskiem niezmiernie pierwotnem. Stał u kolebki większości, jeżeli nie wszystkich państw, znanych nam z historii. Pomimo swego prymitywnego charakteru, pozostał do chwili obecnej główną sprężyną polityki wielkich mocarstw, a nawet wielu mniejszych państw. Tylko te państwa wyrzekły się polityki imperjalistycznej, których siły im na nią nie pozwalały, jak np. Szwecja i Holandja. Ta ostatnia zresztą zachowała, jako spuściznę swej mocarstwowej świetności, państwo kolonialne, przewyższające obszarem sześćdziesiąć, a ludnością siedmiokrotnie kraj macierzysty.

Nacjonalizm jest zjawiskiem znacznie późniejszym od imperjalizmu, albowiem jest następstwem wytworzenia się narodów, które nie są bynajmniej czemś pierwotnem, lecz produktem bardzo skomplikowanego procesu dziejowego. Nacjonalizm to kierunek polityczny, podporządkowujący wszystko interesowi własnego narodu, bez względu na uzasadnione prawa i interesy innych narodów, bez względu na słuszność i sprawiedliwość. Right or wrong, my country, oto jego hasło. Nacjonalizm z reguły łączy się z imperjalizmem, wprowadzając jednak do niego nowe momenty, po części nawet sprzeczne z istotą czystego imperjalizmu. Nacjonalizm dąży do ekspansji nie tylko państwowej, ale i narodowej, a więc do przymusowej asymilacji ludności podbitej, a jeżeli to okaże się się niemożliwem do wysiedlenia jej lub zgoła wytepienia. Natomiast imperjalizm wolny od pierwiastku nacjonalistycznego, np. imperjalizm starożytnych republik greckich, Aten lub Sparty, był niechętny rozszerzaniu społeczności panującej, ponieważ przez to korzyści, płynące z panowania, rozłożyłyby się na większą liczbę, a tem samem udział poszczególnych członków grupy rządowej w tych korzyściach zmniejszyłby się. Podbitej w wiekach średnich ludności tubylczej krajów nadbałtyckich, pod groźbą najsurowszych kar, nie było wolno uczyć się języka niemieckiego, ażeby przez to nie zmniejszyła się przepaść, oddzielająca klasę panującą od poddanych. Gdy się z tą polityką porówna forsowną germanizację, uprawianą przez nowoczesne państwo pruskie, rola czynnika nacjonalistycznego rzuca się w oczy. Walki pomiędzy państwami i narodami pod wpływem nacjonalizmu nabrały

niebываłej zaciętości i bezwzględności i objęły wszystkie niemal dziedziny życia zbiorowego.

Jak długo imperjalizm i nacjonalizm nie należą do bezpowrotnej przeszłości, tnęły pokój pozostanie utopją. Wszelki gwałt bowiem z konieczności rodzi w odpowiedzi gwałt, a tem samem łańcuch przyczynowy, będący źródłem wojny, nie może się skończyć. Dlatego miarodajnem kryterjum dla ceny paktu Ligi Narodów oraz wszystkich innych aktów konferencji paryskiej jest to, o ile one przyczynią się do okiełznania, jeżeli już nie całkowitego ubezwładnienia imperjalizmu i nacjonalizmu. Otóż konferencja paryska w tym kierunku nie zrobiła nic, owszem starała się odrobić niektóre doniosłe fakty antyimperjalistyczne, będące wynikiem wojny światowej. Ta ostatnia pociągnęła za sobą upadek trzech wielkich imperjów: rosyjskiego, niemieckiego i austro-węgierskiego. Jest to olbrzymi krok naprzód na drodze oswobodzenia ludzkości od plagi imperjalizmu. Konferencja pokojowa ograniczyła się do zarejestrowania i sankcjonowania tych faktów, o ile były dogodne dla zwycięzców, a więc o ile dotyczyły Niemiec i Austro-Węgier. Natomiast z najdonioślejszym z tych faktów, z rozpadnięciem się dawnego imperjum carskiego, koalicja wciąż nie chce się pogodzić i czyni wszystko, co jest w jej mocy, ażeby doprowadzić do odrodzenia najbardziej barbarzyńskiego z imperjalizmów.

Nic to dziwnego. Wszak z imperjalizmem rosyjskim łączy wszystkie wielkie mocarstwa koalicji, z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, wspólnotwo knowań imperjalistycznych najgorszego rodzaju, których owocem były osławione tajne traktaty co do podziału zdobyczy. Najniegodziwsze z nich stały się bezprzedmiotowe wskutek upadku Rosji, między innymi układ dający caratowi carte blanche w Polsce. Ale te, które się ostały, zwłaszcza traktat londyński z 27 kwietnia 1915 r., wydający na łup Włochom przeszło milion południowych Słowian, spowodowały najcięższe konflikty w łonie samej ententy. Dla ducha imperjalistycznego, ożywiającego rządy Anglii, Francji i Włoch, charakterystyczną jest okoliczność, że państwa te broniły z wszystkich sił prawomocności tajnych układów naprzód przeciw rządowi Kiereńskiego, później przeciw Wilsonowi. Wszystkie prace konferencji paryskiej odbywały się pod znakiem tryumfującego imperjalizmu. Jedynym hamulcem dla niego była rozbieżność interesów wśród ententy. Dzięki tej okoliczności Francja up. nie zdołała przeprowadzić aneksji lewego brzegu Renu. Pomimo to świat taki, jak go kształtował i dotąd kształtuje konferencja paryska, będzie jeszcze bardziej obfitował w źródła najcięższych konfliktów, niż świat przed rokiem 1914.

W takich warunkach nawet najdoskonalej zorganizowana Liga Narodów musiałaby chybić swego celu.

Dr. Tadeusz Wałek.

Ruch robotniczy w Anglii i Francji.

Dwa ostatnie zjazdy — Trade - Unionów angielskich i Powszechnej Konfederacji Pracy we Francji — świadczą o jednym: klasa robotnicza państw przodujących coraz wyraźniej zmierza ku socjalizmowi. Jest to najważniejszy i bezpośredni wynik wojny światowej. Dzięki pracy robotnika wojna ta mogła być przeprowadzona w takich rozmiarach i dać takie wyniki, na jakich opierały się nadzieje i obliczenia kierowniczych mężów stanu i wodzów armji. Robotnik dokonał tego, że wojna została wygrana, ale też robotnik najwięcej w wojnie tej ucierpiał. Cicho i bez skargi znosił on cztery lata okrutne, przypatrywał się i badał mechanizm wojny, wsłuchiwał się w obietnice rządu, że jak tylko zwycięstwo osiągnięte zostanie, to klasa robotnicza przede wszystkim zbierać będzie owoce tego zwycięstwa. Wojna skończyła się. Zwycięstwo dopisało. Ale wraz ze zwycięstwem zerwała się fala strajków i oto robotnicy przedstawili rządowi i klasom posiadającym rachunek do wyrównania. I już niema sposobu zatarcia doświadczeń wojny ostatniej. To, co dla klas posiadających było chroniczną przerwą w „normalnej“ produkcji, którą z powodu przeciągania się wojny trzeba było przystosować tak, by dała odpowiednie zyski wojenne — dla robotników było tragicznym przeżyciem, było szkołą doświadczalną, w której wykuwała się psychika nowej rasy ludzkiej.

O ile masy pracujące w przeważającej swej części przejęte są zasadami i ideałami socjalizmu, jak nigdy przedtym, o tyle praktyczne wcielenie tych zasad i ideałów napotyka na trudności, jakich również przedtym nie znano. Nic dziwnego, albowiem to, co było przed wojną sprawą teorii, obecnie należy bezpośrednio do praktyki socjalistycznej, która poprzez walkę, błędy, załamania, powodzenia i klęski kroczy ku zwycięstwu. Dominującą cechą nastroju angielskich mas robotniczych jest hasło buntownicze, nietyle głośno wypowiedziane, ile przez wszystkich odczuwane: nie chcemy pracować dla kapitalu! Myśl ta przetłómaczona na język pozytywnej pracy społecznej znaczy: musimy sami ująć organizację pracy w swe ręce. Początek zrobili górnicy. Komisja mieszana przyznała, że upaństwowienie kopalń jest jedynym wyjściem dla przemysłu angielskiego, jeśli wydajność pracy górnika ma wzrosnąć, a produkcja węgla nie podlegać wstrząśnieniom chronicznym. Opinię taką przedłożył rządowi nie socjalista, ani nawet trade - unionista, lecz rzeczoznawca z ramienia rządu — Sankey. Rząd jednak dotychczas lekceważył tę opinię, aczkolwiek zastrzegł z góry, że podda się orzeczeniu komisji. Magnaci węglowi podnieśli alarm: zbyt sucie zagarniali zarobki podczas wojny, aby teraz bez walki rzec się olbrzymich dochodów, a rząd idzie

im na rękę, godząc się zaledwie na ustępstwa nieznaczne wobec żądań robotników. Zjazd w Glasgowie przytłaczającą większością zażądał wykonania projektu Sankey'a, projektu, nie będącego wcale eksperymentem rewolucyjnym, ponieważ upaństwowienie dokonać się ma w przeciągu lat 3. Uchwała ta zjazdu jest nad wyraz ważna. Jest to bowiem początek emancypacji klasy robotniczej, świadomego wyzwalańia się z najemnictwa. Jest to zarazem początek socjalizacji najważniejszych gałęzi wytwórczości ekonomicznej. Bez względu na wynik walki górników angielskich, walki popieranej przez 5 milionów zorganizowanych robotników, praca w tym kierunku poprowadzona będzie we wszystkich krajach.

Jakieśmy wspomnieli, kapitaliści opierają się wszelkiemi siłami projektowi Sankey'a. Walka ekonomiczna w ten sposób nabiera charakteru walki politycznej, starcia klas społecznych i partji politycznych. Dlatego też dyskusja polityczna naczelnie zajęła miejsce na zjeździe w Glasgowie. Fakt, że wobec decydujących zmagani kapitału i pracy, walka ekonomiczna natychmiast wyradza się w walkę o dominujące stanowisko polityczne w kraju, zmusza tak apolityczne dotychczas trade-uniony do zmiany taktyki. Czynią to niechętnie, świadome tego, że wprowadza to walkę do łona związków, będą jednak zmuszone baczną zwrócić uwagę na politykę przedstawicieli robotników w parlamencie. Sprawa, która zajęła umysły na zjeździe, — to akcja bezpośrednia dla osiągnięcia celów politycznych. Większość była przeciwna takiej akcji, nie powzięto też rezolucji w tej sprawie i wątpliwem jest, aby robotnicy angielscy prędko zdobyli się na tego rodzaju akcję. Nie zmniejsza to jednak znaczenia tej dyskusji, zważywszy, że mniejszość przecież imponującą przedstawia siłę.

Jako dowód przenikania socjalizmu do szeregów Trade-Unionów służyć może także wynik wyborów uzupełniających do parlamentu. Na 7 opróżnionych miejsc, robotnicy zdobyli 5 mandatów. Zwycięstwo socjalizmu nie jest tu przejęciem się teorią socjalizmu, przyswojeniem socjalistycznego dorobku myślowego, lecz żywiołowym, przez życie samo i warunki obecne wytworzonym procesem. To, co dotychczas drzemało w jednostkach i niewielkich grupach, jako wyznanie wiary polityczno-społecznej — dziś narzuca się masom, jako konieczność dziejowa.

Dojrzałszą, bardziej uświadomioną ideowo przedstawia się praca francuskiej Powszechnej Konfederacji Pracy. Trade-Uniony bowiem powstały, jako organizacja obrony interesów i polepszenia warunków pracy klasy robotniczej i po dzień dzisiejszy przeważnie ograniczają się do działalności czysto zawodowej, nie wybiegając w przyszłość z dążeniami o innym ustroju, nie budując swej pracy na

przesłankach socjologicznych *). Inaczej rzecz się ma we Francji. Tak zwane syndykaty są organizacjami natury ideowej. Celem ich przekształcenie społeczeństwa w związek wolnych pracowników. Działalność swą opierają na podstawowym dogmacie socjalistycznym: walce klas. Jest to więc organizacja zawodowa o charakterze czysto socjalistycznym. I aczkolwiek teoria syndykalizmu powstała, jako reakcja przeciw praktyce socjalistycznej, szczególnie parlamentaryzmowi i demokracji — różnice z biegiem czasu zatarły się. Dziś syndykaty, głosząc zasadę bezpartyjności (zasada jedynie słuszna w ruchu zawodowym, praktykowana zresztą i u nas), coraz solidarniej maszerują z partją socjalistyczną, coraz mniej zachodzi konfliktów ideowych. Klasycznym pod tym względem dokumentem jest i pozostanie rezolucja przyjęta na ostatnim zjeździe w Lyonie przeważającą ilością głosów. Poza kilku zdaniem, wyrzekającemi się wszelkiej łączności z partjami politycznymi i podkreślającemi samodzielność syndykalizmu, rezolucja ta przepełniona jest treścią i duchem socjalizmu, w całości przejmując jego zasady i program. Uznano za celowe i konieczne posiłkowanie się w walce o wyzwolenie klasy robotniczej wszelkimi środkami, wypróbowanemi w skuteczności swej, postanowiono dążyć zarówno do zdobyczy doraźnych jak też do przemian zasadniczych, nie odrzucono metod ewolucyjnych, nie wyrzekając się jednakże broni rewolucyjnej. W kraju, gdzie partja socjalistyczna posiada dużą siłę i znaczenie, z natury rzeczy odbiły się też na kongresie w Lyonie różnice poglądów, nurtujące partje socjalistyczne na kontynencie. Kwestja taktyki, dzieląca socjalizm na zwalczające się wzajemnie obozy i grupy, wysunęła się na czoło dyskusji. Dyskusja ta była bardzo pouczająca. Z jednej strony wykazała, że syndykalizm, odżegnywując się od polityki, sam namiętnie uprawia ją, z drugiej zaś strony pokazało się, że wielki ruch rewolucyjny nie może być dziełem agitacji jednostek lub tym mniej postanowienia przywódców robotniczych, lecz musi wyłonić się z mas samych, z ich nastroju i gotowości bojowej.

Zatryumfowała na zjeździe zasada jedności robotniczej. Zrozumiano, że warunkiem zwycięstwa jest przede wszystkim liczna, dyscyplinowana, jedna armja robotnicza. Zrozumiano, że nie ta lub inna teoria, taki lub inny odcień myśli, lecz miljonowa masa robotnicza stanowi o powodzeniu lub klęsce ruchu robotniczego. Myśl socjalistyczna może być jedynie sługą tego ruchu, nigdy zaś nie powinna

*) Z tym twierdzeniem autora nie możemy się zgodzić w zupełności. W czasie wojny bowiem powstała w Anglii olbrzymia literatura z zakresu teorii i praktyki ruchu robotniczego. Zdumiewać się trzeba ilości i zakresowi tematów, które w dużej mierze poruszają trade-unioniści. To, co zrobiono w tej dziedzinie we Francji zgola nie dorównywa teoretycznej myśli angielskiej obecnie. — Red.

rozdrabniać go i rozszczepiać na części, odpowiadające kierunkom myślowym teoretyków, biorących często swoje widzimisię za wyraz istotnych potrzeb robotników i gotowych rozbić zwarte szeregi walczących gwoli zadowoleniu swych ambitnych teoryjek. Jakaś uroczysta powaga unosi się nad tekstem rezolucji lyońskiej. Niema frazesów, rzucanych na wiatr obietnic: jest dumne męstwo zaharowanego w boju robotnika, którego myśli i uczucia idą w parze ze słowem i rządzą czynem. Mowy Merrheima, Dumoulin'a i Jouhaux'a godne są najpiękniejszej tradycji międzynarodówki socjalistycznej z okresu W. Liebknechta, Bebla, Jaurès'a, Adlera.

Scibor.

Złote serce.

Kiedy przechodniu idziesz ulicami Warszawy, uderza cię na każdym kroku i ach, codzień olbrzymia ilość szlachetnych kobiet w tem mieście. Jedne siedzą przy stolikach równie chętnie u wrót kościelnych, jak i w ogrodach publicznych i miejscach zabaw, drugie dwójkami chodzą pełne skromnego wdzięku, zaopatrzone w różnokolorowe kwiatuszki i znaczki. Te kwiatuszki i te znaczki spoczna wkrótce na piersiach dzielnych mężczyzn za skromną opłatą, za prawdziwy „wdowi grosz“ jałmużny publicznej, na piękne cele złotej. Jałmużna wędruje na tace, przy których siedzą godne, szeroko rozpostarte starsze damy i panienki — pod ochroną dzielnych mężczyzn — a nazwiska ich można czytać w miejscowym organie insektów i nekrologów. Na ulicy płynie żebraczy grosz do puszek, poręczanych przez wdzięczne panienki. To „złote serce“ Warszawy załatwia się z wszystkimi nędzami i niedolami Polski.

Zbiera się w stolicy na wszystko. Na dzieci św. Heleny, Zofji, lub św. Franciszka, na sieroty mrące potem masowo w „fabrykach aniołków“ pod protektoratem hrabin i księżnych pań, na koszule i spodnie dla żołnierzy, dla „naszej bohaterskiej młodzieży“, na łóżka w szpitalach dla rannych wojowników, na wpisy szkolne, na wdowy, na starców i przeciw chorobom, a zwłaszcza przeciw gruźlicy...

Że dzieci wszystkich świętych masowo umierają, żołnierzy dalej wszy gryzą, że w szpitalach polskich chorzy jedli czarny chleb z ościami, podczas gdy panienki jadły pączki bez ości, że starcy i wdowy konają sobie dalej z głodu, że Warszawa nie ma szkoły powszechnej dla 100,000 dzieci w wieku szkolnym, że gruźlica szaleje — mój Boże, — cóż temu winno „złote serce“? Jałmużna jest

cnotę: ile też otrze, to nie jej rzecz; wykonywajmy cnotę, apelujmy do „złotego serca“. I gdyby **każdy** np. dał po marce i t. d. to byłyby miliony na otarcie łez.

Gdyby **każdy**? Kto to „każdy“? To bogacz, wykupujący się marką, albo i 10 fenigami, tak samo dobrze, czy źle, jak i biedny student, któremu codziennie wyludniają choćby drobną kwotę... Jakież to „złote serce“ jest niesprawiedliwe!

Ale i jakie bezcelowe, a nawet szkodliwe! Jakto? na szkołę, na wojsko, na bieliznę dla niego, na starców, na sieroty, na gruźliczą ludność, na ochronę dziecka polskiego trzeba żebrać? A tak, trzeba żebrać, bo państwo polskie na to wszystko nie ma dość pieniędzy. I nie razi to nikogo? Nie.

A więc zróbmy eksperyment. Proponujemy sprzedaż kwiatka lub znaczka np. na toalety bogatych, zdrowych kobiet, nie umiejących pracować. Albo na odżywianie racjonalne wywłaszczonej szlachty... W pierwszym wypadku mężowie eleganckich kobiet krzyknęliby, że to hańba, którejby nie przeżyli. Oni **sami** sprawią swym żonom i córkom — nie umiejącym pracować — najbardziej eleganckie toalety. Jałmużna dobra dla biedaków, nie dla nich. Szlachta zaś krzyknęłaby zgodnym chórem: „Precz z kwiatkiem!“ **państwo** niechaj dobrze za wywłaszczone morgi zapłaci! Jedni i drudzy opluliby i przekleli „złote serce“, rozpędziliby najwdzięczniejsze nawet panienki, chadające dwójkami i rozbiliby wszystkie stoliki, tace i starsze i młodsze damy z organu inseratów i nekrologów.

Czyż dzieci, które potrzebują szkoły od **państwa** lub miasta; żołnierze, którym się należy koszula, buty, łóżko w szpitalu od **państwa**; starcy, sieroty, inwalidzi i wdowy będące w cywilizowanych społeczeństwach na utrzymaniu **państwowem**, nie mają takiego samego prawa zaprotestować przeciw jałmużnie, przeciw jawnej, niesprawiedliwej, bezskutecznej jałmużnie?

A już groteskowe formy tej jałmużny, krzyczą o satyrkał „Konkurs hipiczny“ przeciw gruźlicy! Tanki na budowę szkół! Tańce dla otarcia łez „wyjątkowej nędzy“. Popisy gimnastyczne dla domu starców. Polykanie nożów na pensję dla urzędników państwowych; rzucanie dyskiem na suknie podupadłych szlachcianek. Do czego to doprowadzi? Do zohydzenia jedynej dobrej strony jałmużny, t. j. uciechy dla dającego. Dając markę na szkołę dla dziecka, zalewam się wstydem i goryczą na myśl, że szkoły państwo ani miasto dotąd nie zbudowało. Radość moja jest zmacona, przestaje być czystą. Gdybym zaś przeciwnie dał markę na drogie futro dla żony bogatego paskarza, powiedziałbym sobie: będzie miał mniej wydatków na swoją połowicę, może okradnie mniej o jednego konsumenta... I na wywłuszczoną szlachtę chętnie bym dał (to tylko teoretycznie oczywiście, bo jej przecież nie wywłaszczą...) po 10 fenigów dziennie, mówiąc sobie cichutko w duchu: przynajmniej uwolnię państwo od

tak nierentownego i nieprodukcyjnego ciężaru... I serce moje radowałoby się czystą radością.

Jeżeli już kogo ma karmić, podnosić, odziewać „złote serce“ Warszawy, to proponujemy, żeby karmiło paskarzy, paskarki, ich dzieci; żeby odziewało szlachtę i modnisie, nie umiejące pracować.

O, bo wtedy wszystkich tych czynnych i biernych paserzytów społecznych wkrótce by w Warszawie i w Polsce nie stało. „Złote serce“ sprzątnęłoby ich ze świata tak samo gruntownie, jak sieroty, starców i rannych żołnierzy polskich...



W rocznicę zdarzeń.

(Kartki z pamiętnika).

Zdobycie twierdzy krakowskiej.

Dnia 29 października 1918 r. przyszli do mnie w nocy dr. E. Bobrowski i major S. z zapytaniem, czy mogą w nocy uderzyć na komendę korpusową austrijacką. Mieli zebrać w kilka godzin 300 ludzi, przeważnie b. legionistów i młodzież szkolną. Odpowiedziałem, że — mojem zdaniem — Austriacy są tak słabi, że każdy atak — byle energiczny — może się powieść. Tymczasem nie udało się w nocy ludzi zebrać, ale w dzień opanowali odwach na Rynku Krakowskim i udało im się tam przebyć pierwszych kilka godzin bez przeszkód.

Na ratuszu znaleźli się hr. Skarbek, Witos i ja około 10 rano. Dano znać, że przyjechali automobilami hr. Begnini, kom. I korp. ze swojemi referentami, między któremi był pułkownik Grimm, szef sztabu i podp. Morawski, szef służby wywiadowczej. Był z niemi również jakiś rotmistrz z „Armee-Ober-Komando“. Przybyli do nas, ażeby omówić granice władzy między austrijackiem wojskiem a Polską Komisją Likwidacyjną. Tu należy zauważyć, że utworzona przed tygodniem P. K. L. jeszcze się nie zebrała w dniu 30 października, a my, t. j. Witos, Skarbek, Tertil i ja zastępowaliśmy ją, jako reprezentanci czterech stronnictw głównych.

Akcja toczyła się w trzech w rząd biegnących pokojach prezydjalnych w magistracie krakowskim. W środkowym rozmawialiśmy z Austriakami, w drugim tymczasem zjawił się brygadjer Roja. Tego zamianowaliśmy natychmiast komendantem całego dawnego krakowskiego obszaru wojskowego, poczem z nominacją przez nas podpisaną wyszedł, zabrał automobile austriackich dygnitarzy i miał z pomocą garści legionistów i młodzieży odebrać całą twierdzę krakowską.

My zaś mieliśmy jaknajdłużej przetrzymać austrijackich dygnitarzy w ratuszu.

Czyniliśmy to pod pozorem narad nad tekstem depeszy do „AOK“, którą nam proponował ów wysłany stamtąd rotmistrz. Ale czas włóki się zbyt powolnie. Zaproponowałem więc, aby poprosić prezydenta miasta p. Federowicza o zamówienie sześciu obfitych obiadów dla Austriaków. Jakoż wkrótce przyniesiono im różne specjały a celem odosobnienia zupełnego, poprosiliśmy ich do dalszego saloniku, przy którego drzwiach postawiliśmy wartę wojskową. Austriacy zabrali się do gruntownego odżywiania się, co nam było bardzo na rękę, bo tymczasem p. Roja obejmował twierdzę krakowską bez oporu. Koło 2-ej godziny miał ją już w rękach w znacznej części, przyjechał dać o tem znać i prosił o niedługie jeszcze zatrzymywanie dygnitarzy pod naszą opieką. Wkrótce dał znów znać, że jest gotów ze swoją robotą.

Wówczas wszedłem do saloniku, gdzie Austriacy byli już przy kawie i likierach. Podszedłem do Begniniego i powiedziałem mu:

— „Exzellenz! wir haben die Krakauer Festung übernommen“... („Ekscelencjo! Odebraliśmy twierdzę krakowską“).

Porwał się na te słowa generał i zawołał:

— „Aber ich habe niemanden die Festung übergeben“. („Ależ ja nikomu twierdzy nie oddawałem!“).

— „Ich behaupte es auch nicht — odpowiedziałem — nur haben wir. („Tego nie twierdzę — ale odebraliśmy twierdzę krakowską“...).

Kiedy dygnitarze zaczęli gwałtownie protestować, wziąłem na bok p. Morawskiego:

— Powiedz im pan, żeby się uspokoiili, bo na dole czekają na tych panów z granatami ręcznymi! — I wyszedłem.

W rzeczywistości zaś na dole dłużyło w nosie kilku gapiów ulicznych. Generał i jego referenci uspokoiili się, a nawet prosili, aby im było wolno jeszcze czas jakiś pozostać w ratuszu...

Zgodziłem się na to. Byłem sam, bo Skarbek i koledzy poszli na obiad. Wreszcie po 3-ej przyszła pora na wyekspedjowanie ich. Wszedłem znów do ich saloniku i zapowiedziałem, że nie wolno żadnemu z nich udać się do swego biura urzędowego, a wolno rozejść się do domów. Wówczas podszedł do mnie Morawski i szepnął:

— „Ekscelencja hr. Begnini prosi o to, aby oficer polski siadł z nim do auta i odwiózł go do domu“...

Był to skutek wzmianki o granatach ręcznych...

Ten hr. Begnini posyłał podobno w Karpatach na rzeź całe dywizje. Tak się skończyło szczęśliwie objęcie twierdzy krakowskiej w ręce polskie kosztem sześciu dobrych obiadów.

Delegaci rządu d-ra Świerzyńskiego.

Dnia 2 listopada 1918 r. przyjechali do Krakowa delegaci rządu d-ra Świerzyńskiego z Warszawy pp.: ks. Witold Czartoryski i jego

pomocnik Bądryński. Po krótkiej wizycie w P. K. L. w ratuszu, udali się do delegata namiestnictwa galicyjskiego d-ra Biesiadeckiego i rozpoczęli konszachty za naszymi plecami, aby urzędników, których zaprzysięgliśmy po „zdobyciu“ twierdzy, jeszcze raz zaprzysięż na rzecz rządu p. Świerzyńskiego. Dnia 3 listopada zaprosiliśmy obu tych panów do siebie. Kiedy się zjawili, wyłuszczył Czartoryski w dość mętny sposób, że Rada Regencyjna i rząd d-ra Świerzyńskiego mają prawo do objęcia rządów w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim, że on nie może uznać P. K. L., jako rządu, i że, jako generalny delegat, dopuści P. K. L. do spełniania roli doradce przy sobie.

W odpowiedzi na to wyłuszczyłem powody, dla których Rady Regencyjnej nie uznajemy, przedstawiłem położenie Galicji jako nie znoszące ani R. R. ani książąt na czele swoim i radziłem odjechać do Warszawy. Pp. Witos i Tertil zgodnie tą samą radę, jako rezultat swojego przemówienia, objawili. W trudnem położeniu znalazł się hr. Skarbek. Jako narodowy demokratą miał popierać rząd d-ra Świerzyńskiego, a zwalczać jego mocodawczynię Radę Regencyjną. Ale i on — wśród komplementów — radził obu panom delegatom opuszczenie Krakowa i powrót do Warszawy.

Wobec tego, ks. Czartoryski prosił o półgodzinną naradę z swoim towarzyszem. Skończyło się na tem, że wśród zapewnień o swoich dobrych chęciach zdecydowali się obaj bezzwłocznie wrócić do Warszawy dla zasiągnięcia bliższych informacji u swego rządu. Tego samego dnia jednak w Warszawie rząd ten upadł!...

I. Daszyński.

K u p i ę !...

Gospodarka p. Lindego, ministra Poczty i Telegrafów, wydaje owoce. Marki sejmowe weszły na rynek, jako poszukiwany towar. Jak poszukiwany i jak ceniony, niechaj o tem zaświadczy następujący inserat w „Kurjerze Warszawskim“:

K U P I Ę

kilka egzemplarzy marek sejmowych
niedziurkowanych, w odmiennych kolo-
rach, zapłacę po parę tysięcy za sztukę,
Marszałkowska 115—4, od 5—7 wiecz.

1297

Apel ten skierowany do tych wszystkich, którym p. minister marki dał na sprzedaż, czy też jako upominek. Nie radzimy spieszyć się: wyczekać, a potem będą płacili ceny trzykrotne.

Teren plebiscytowy na Mazurach.

Plebiscytowi w Prusach Królewskich (Zachodnich) i Książęcych (Wschodnich) podlegają: a) cztery prawobrzeżne katolickie powiaty; b) katolicko-polska Warmja i protestancko-polskie Mazury. Plebiscytem w prawobrzeżnych powiatach i na Warmji zajmuje się Komitet Warmiński plebiscytowy, plebiscytem na Mazowszu Pruskim zajmuje się Komitet Mazurski.

Obszar plebiscytu mazurskiego obejmuje powiaty:

	Km. ²	ludn.	katol.	ewang.	Niemców	Polaków
Ostródzki	1553	76000	8000	68000	28000	48000
Niborski	1204	60000	6000	54000	8000	52000
Szczycieński	1707	71000	7000	64000	6000	64000
Ządzborski	1234	52000	4000	48000	12000	40000
Jańsborski	1680	53000	1000	52000	5000	48000
Lecki	894	42000	1000	41000	13000	29000
Lecki	2127	57000	2000	55000	13000	44000
Olecki	841	30000	1500	35000	20000	1900
Razem	10300	441000	30500	419500	105000	326900

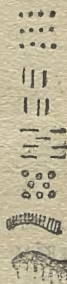
Ogółem na terenie plebiscytowym Komitetu Mazurskiego jest Polaków 327000, w tem niespełna 20000 katolików, Niemców 105000.

Na Mazurach ludnością uświadomioną jest ludność polsko-katolicka, która stanowi tylko około 5% ogółu mieszkańców; ludność zaś polska, stanowiąca przeszło 75%, jest słabo uświadomiona.

Komitet Mazurski działa na terenie 10300 kilometrów kwadratowych; zamieszkałych przez 420000 ludności.



Objaśnienie znaków:



Warmja polsko-katolicka

Mazury polsko-protestanckie

} późniejszy równoczesny plebiscyt.

Prawobrzeżne powiaty pol.-kat. Prus Zach. — plebiscyt wcześniej.

Część Mazowsza Pruskiego (pow. niborskiego) przyznane Polsce bez plebiscytu.

Granica Mazowsza Pruskiego.

Granica terenu plebiscytowego.

Charaktery.

JACEK.

Nie życie Jacka jest odmienne od życia ludzi innych, lecz tylko jego sąd o życiu własnym.

Inni w razie niepowodzenia widzą winę nazewnątrz siebie, w świecie i bliźnich. Samotnicy mówią: nie mogę żyć z ludźmi, nie mam wcale przyjaciół; kiedy się rozejrzę, widzę, że **niema ludzi**. Tacy, — gdy opuszczają kochankę, — obsypują ją zarzutami, sami porzuceni — też tylko po drugiej stronie widzą lekkomyślność i niecnotę. „Wszystkie kobiety są jednakowe“, — mówią wtedy — i to jest zarzut największy.

Jacek też cierpi, nie mając wiernego przyjaciela, i on doświadcza osamotnienia, przebywając między ludźmi. Wszelako nie obwinia nikogo, prócz siebie.

Jacek jest zawsze winien. Cokolwiek stanie się złego — choćby niewątpliwie na skutek cudzej przewiny — sobie jedynie przypisuje. Krzywdy, wyrządzone i doznane, są jego przegraną zarówno: za jedno i za drugie ponosi przed sobą gorzką odpowiedzialność.

Oto Jacka odeszła ukochana kobieta i przeto jest smutny. Jest jednak nie tylko smutny: na duszy jego leży ponadto nieznośny ciężar poczucia winy. Gdy inni, weseląc się czy smucąc, są przecież radzi sobie, Jacek ma dla siebie tylko potępienie.

Moralista pochwaliby może Jacka, że ma sumienie wrażliwe. Sam on jednak wie lepiej, co o tym sądzić. „Oto jak wszystko jest zepsute, niedocenione, zmarnowane przezemnie“, myśli. Ale skrusza Jacka jest bezpłodna, niezdolna poprawić ani innych ani jego samego.

JANOWA.

Janowa była malutka, zgarbiona, bezzębna, o twarzy pomarszczonej, o nosie zagiętym i bródce spiczastej, jak u smutnej i łagodnej więdźmy. Miała czterdzieści parę lat, a wyglądała na sto — dlatego, że przez całe życie bardzo pracowała i mało jadła. Zupełnie kościana babka — bez krwi, bez ciała, krucha i marna, a przecież poszukiwana do najmu przez całą okolicę.

Bo niktby tak na oko nie uwierzył, jaką miała siłę. W dźwiganu dużych wiader wody pod górę, w szorowaniu podłóg, w praniu i każdej robocie, mało która mogła jej dorównać. Cwierć kartofli niosła przez parę wiorst, nie spoczywając. I nawet się nie zduszała.

Wszyscy ją chwalili, bo pracowała chętnie, była przywiązana, oddana, wierna. Od nieskończonej roboty nie odeszła. Mówiło się do niej: „moja kochana Jasiowa, już ja na was się spuszczam“, a ona stała przy balji albo przy żelazku do północy i później.

Ale miała swoje zmartwienia. Jej mąż był leniwy, nigdy jakoś nie mógł dostać roboty, latem leżał w trawie, zimą w izbie pod pierzyną i nawet na kuchni nie rozpalil. Gdy Janowa wracała na wieczór do domu, krzyczał na nią i często ją bił. To ona właśnie powiedziała raz te dziwne słowa: „Gdyby wziął postronka, tobym nie nie mówiła, ale on czem popadnie“.

I z dzieci nie miała pociechy. Syn najstarszy, leniwy i złodziej, trzymał z ojcem, drugi poszedł do wojska. Córka Ewka puściła się i co rok miała dziecko ze starym gajowym, który za to pozwalał jej darmo brać drzewo z lasu. Ojciec bił Ewkę i za to, że drzewa mało, i za dzieci. Ale sam z lasu drzewa dźwigać nie poszedł, a Janowa znów nigdy nie miała czasu.

Janowa pracowała na całą rodzinę. Tak dorobili się wreszcie własnego domu na brzegu wsi i paru świń, które jednak padły na zarazę. Później kupili jałówkę. Ale zanim jałówka wyrosła na krowę, Janowa umarła. Niech jej ziemia lekką będzie.

Zofja R. Nalkowsko.

List z Parany.

Po kilkuletniej przerwie z Macierzą, o którą przeżywaliśmy tyle niepokojów, mamy wreszcie możność bezpośredniego skomunikowania się z krajem. Korzystam z tego skwapliwie i wysyłam do Niepodległej już Polski list, który w najogólniejszy chociaż sposób powiadamia was o życiu Polaków w Paranie w czasie tej długiej wojny.

Gdy doszło do nas echo czynu Piłsudskiego, w całej Ameryce Południowej powstały organizacje niepodległościowe, z których stworzono Organizację Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych Ameryki Południowej. Pismem naszym była „Pobudka“, wychodząca w Ponta Grossa.

Stronnictwa niepodległościowe od początku wystawione były na wściekłe ataki nieprzebierającej w środkach grupy moskalofilsko nastrojonej, która z macierzystą endecją była w ścisłej łączności. Przewodcą tej grupy był i jest p. Kazimierz Warchałowski, ongi do szczególnych poruczeń urzędnik kniazia Oboleńskiego, zarządzający na czele kozaków wyprawy karne na chłopów w południowej Rosji.

Francja, werbując wszędzie ochotników, zwróciła uwagę i na Brazylię, a zwłaszcza na Polaków tu przebywających. Zjechał tu jeszcze w pierwszym okresie wojny niejaki p. Abczyński, oficer i emisariusz rządu francuskiego, zresztą indywiduum podejrzane.

P. Abczyński wszedł w niedługim czasie w ściśle stosunki z grupą endecko - moskalofilską, zaś z p. K. Warchałowskim przebywał w poufalszym kontakcie, zwłaszcza po kilku wielce wystawnych bankietach.

Korzystając tedy z finansowej pomocy, udzielanej przez misję francusko-polską, werbującą ochotników, p. Kazimierz Warchałowski zorganizował osławiony wiec polski w Kurytybie 16 grudnia 1917 roku. Atoli swojem celowo prowokacyjnem zachowaniem się p. K. Warchałowski zmusił $\frac{3}{4}$ zgromadzenie do opuszczenia sali, a wtedy w gronie choć niewielkim, ale dobranym, powolnych przyjaciół zostały uchwalone rezolucje, proklamujące powstanie Polskiego Komitetu Centralnego w Brazylii, będącego filją paryskiego Komitetu Narodowego. Prezesem Centralnego Komitetu Polskiego w Brazylii został oczywiście p. K. Warchałowski.

Wobec tego, że Centralny Komitet Polski otrzymywał od rządu francuskiego po 200 fr. do swego rozporządzenia za każdego ochotnika, więc starano się zwerbować jaknajwięcej i p. K. Warchałowski, w celu powiększenia liczby brał byle kogo, nawet w porcie przed odejściem okrętu starców o podejrzaną przeszłość.

Jednak akcja werbunkowa nie wydała rezultatów. Nie wyjechało nawet 200 ochotników. Skoro się bowiem koloniści dowiedzieli, że w akcji werbunkowej bierze udział p. K. W., zachowali się bardzo opornie, a obawiając się czynnych nawet napaści, usunęli się od polityki wogóle.

O działalności parańskiej endecji i jej prowodyrą świadczy fakt niezwykle drastyczny. Mianowicie p. K. Warchałowski umieścił pewnego dnia denuncjację w pismach brazylijskich przeciwko Komisji wojskowej, Komitetowi Obrony Narodowej i wszystkim organizacjom, popierającym ruch J. Piłsudskiego (p. wychodząca w Kurytybie „A República“ z 28 kwietnia 1917 r.).

Wszakże denuncjacja była tak ordynarna, że społeczeństwo brazylijskie nie dało jej zgola wiary, zaś pisma urzędowe zamieścili notatki, że *Diario da Tarde* i *Correio do Parana* oraz inne pisma zostały wprowadzone w błąd. Dr. Kóssobudzkiemu, wielce u nas szanowanemu mężowi, na którego między innemi napadł p. Warchałowski, studenci urządzili owację, a kolonja polska została takim prowokacyjnem zachowaniem się przywódców endeckich do żywego poruszona.

Wogóle zaś działalność Polskiego Komitetu Centralnego z Brazylii, będącego filją paryskiego Komitetu Narodowego, sprowadzała się do szkalowania Piłsudskiego i całego ruchu niepodległościowego.

Przytem jako przyjaciół Polski wystawiano jako wzór d-ra Masaryka (!) i... socjalnych demokratów, czyli obecnych komunistów. A więc metody endeckie tutaj właśnie są zupełnie podobne do tych, jakie uprawiają tam — w kraju.

Urzędowy organ N. D. „Polak w Brazylii“ uprawiał systematyczną kampanję przeciwko niepodległościowcom, zohydzając ruch legjonowy Pilsudskiego bodaj jeszcze gorszymi metodami, niż to czyniono w kraju.

Polskie organizacje niepodległościowe na zjeździe 5 i 6 stycznia 1919 r. uchwaliły wobec uzyskania niepodległości Polski przystąpić do W. O. N. Z. P. na Związek Polskich Demokratów, którego celem jest, prócz działalności wydawniczej, utrzymanie łączności z krajem i obronę polskich interesów. Z. P. D. wysłał do kraju 3 marca r. b. delegata p. Karola Rzyzińskiego.

Wobec tego, że w nr. 23 „Polaka w Brazylii“ z dnia 28 marca 1919 r. Komitet Centralny zawiadamia, że Komitet Narodowy w Paryżu powierzył nadal reprezentowanie spraw polskich wobec rządu brazylijskiego p. Kazimierzowi Warchałowskiemu, Z. P. D. protestuje przeciwko temu przedewszystkiem dlatego, że p. K. W. został mianowany reprezentantem Polaków przez d-ra Nilo Peçanha za staraniem ministra francuskiego na prośby pp. Dmowski i S-ka w Paryżu.

Nigdy kolonja polska, ani też Rząd polski nie powierzał mu tego mandatu, gdyż kompromitujące go wybory na skandalicznym wiecu z dn. 16 grudnia 1917 r. nie można przecież uważać za międzynarodajne. Trwał, dopóki trwał stan wojenny i cenzura.

Z chwila, kiedy rządy aljantów i niektóre państwa neutralne uznały nasz obecny Rząd polski, tylko ten ostatni jest mocen mianować swoich reprezentantów, ale nie jakieś efemeryczne komitety, chociażby nazywały się narodowymi i urzędowały w Paryżu. Nie mogą one bowiem przywłaszczać sobie atrybucji władz państwowych.

Podawanie się za reprezentanta Polski należy uważać za zwykłe uzurpatorstwo, jedną z metod polityki Narodowej Demokracji. Oświadczamy, że p. K. Warchałowskiego za reprezentanta Polski nie uznajemy, tak jak dotychczas za przedstawiciela tutejszej Polonii nie uznawaliśmy.

Powyższe oświadczenie Związku Polskich Demokratów zostało ogłoszone w nr. 12 „Świtu“ z dn. 10 kwietnia 1919 r. (Penta Grossa) i wywołało duże wrażenie.

Miejscowa endecja chce za wszelką cenę obsadzić wszystkie stanowiska urzędowe swemi ludźmi, co uważamy za zgubne dla interesów zarówno kraju jak i Polonii południowo-amerykańskiej. Dotychczasowa bowiem działalność tutejszej grupy p. K. Warchałowskiego wnosila tylko w życie Polonii zamęt i przyczynila więcej szkód, niż pożytku. Pan K. W., człowiek nieprzebierający w środkach, a żądny

władzy i dostojenstw, stworzył sobie oryginalne stronnictwo, które składa się z jego krewnych, bądź też ludzi, materialnie od niego uzależnionych, pracujących w jego przedsiębiorstwach. Tego rodzaju stronnictwo, rozporządzające pismem i środkami pieniężnymi, usurpowało sobie najpierw przedstawicielstwo kolonji polskiej, a teraz reprezentacje rządu polskiego wobec Brazylii. Dzieje tego stronnictwa, to działalność p. K. Wrachalowskiego.

Wobec tego, że zbiorowa opinia kolonji parańskiej jest temu, co się tu dzieje na tem tle, przeciwna, wewnętrzne życie nasze podobne jest do piekła emigracyjnego.

Urodzaj mieliśmy w tym roku dobry. Na uwagę zasługuje zbiór ryżu i kukurydzy. Zwiększa się także plantacja bawełny. W czasie wojny rozszerzył się w Paramie przemysł rolny, chemiczny i włókienniczy. Drożyzna jednak, zwłaszcza w tym roku, zaczyna nam dokuczać.

O. A.

Kurytyba, w sierpniu 1919 r.

„Gest“ magnaterji polskiej.

Polska powstaje uboga, poszarpana, wymagająca od synów swych poświęcenia, samozaparcia i ofiar, a ci, zbójom podobni, zagrabiają jej nędzne mienie, byleby napęłnić własne, od wszelkiego dobytku napęczniałe komory. Zagarnianie dobra powszechnego drogą łajdactw, grabieży lub zwykłego złodziejstwa stało się ogólnem, poczynają jednak przybierać pozory prawne.

Magnateria nasza, która, korzystając z częstych zawieruch wojennych, a głównie w czasie rozbiorów Polski, zagrabiając królewszczyzny, ba, nawet donacje przeznaczone na oświatę narodową, potworzyła swe olbrzymie fortuny, dziś, w czasie państwowej nędzy, opierając się jakoby o prawo i procesami grożąc, chce zagarniać dobra, z których pożytkowania ubogie, powstające państwo Polskie korzystać powinno.

Wiadomo, że w czasie ostatniego powstania rząd rosyjski skonfiskował dom, będący własnością Andrzeja hr. Zamoyskiego. W domu tym, tytułem prawa spadkobierczego, znalazły pomieszczenie niektóre ministerja, przyczem, odpowiednio do potrzeb swych przeprowadzają w gmachu przeróbki i go odnawiają.

Tymczasem rodziny Zamoyskich, Żółtowskich i Lubomirskich, jako spadkobiercy Andrzeja Zamoyskiego, roszczać prawa do tej nieruchomości, wystąpiły z procesem przeciw rządowi polskiemu, żąda-

jąc nietylko zwrotu tego domu, ale i odszkodowania za straty, jakie ponieść mogą z racji przeróbek restauracyjnych.

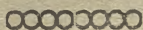
Chciwość i nędzne sobkostwo magnaterji naszej wykazały się w całej, brudnej pełni.

Zdawałoby się, że, w momencie tak trudnym dla państwa Polskiego, pretendenci do tej nieruchomości posiadający miljonowe fortuny, uczynią gest wielki (nie tracąc przytem ani grosza, bo domu tego przecież nie posiadają) i ogłoszą publiczne zrzeczenie się praw swych na korzyść skarbu narodowego, czem zyskaliby ogólną sympatię i podziękę, że spełnili czyn obywatelski i naśladowania godny. Ale, jak już Pismo powiada, łatwiej jest przejść przez ucho igielne wielbłądowi, aniżeli magnatowi (polskiemu) zrzec się nawet tego dobra, którego faktycznie nie posiada, więc wielmoże nasi grożą sądownymi wyrokami młodocianemu i biednemu państwu Polskiemu, jeżeli nie zechce nietylko im oddać owej nieruchomości, ale jeszcze zapłacić różne odszkodowania, tytułem możliwych dla tych biednych milionerów strat, spowodowanych przez rekonstrukcję niektórych ubikacji.

Lokując posiadane setki milionów zagranicą, nie przyczyniając się niczem ku podniesieniu dobrobytu ogólnego we własnym kraju, tracąc olbrzymie sumy u obcych, magnaterja nasza wykazała swą niocność obywatelską i szkodliwość dla kraju. Pozostała ona również głuchą i ślepą na lekcje historii. Czyżby im przypomnieć należało czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej?

Cześć wam, panowie magnaci polscy!

W. Tr.



„Kapitał“

duchowy

p. Erazma Majewskiego.

Zagadnienie pracy ducha w powszechnej produkcji należy do bardzo ważnych współczynników całego wielkiego problemu społecznego. Pozyskało ono szczególnie doniosłą wymowę w tej chwili, gdy przewartościowuje się wszelkie wartości. Z różnych stron szuka się sposobów uzgodnienia praw pracy intelektualnej z zasadniczą ewolucją czy rewolucją społeczną, w której pracy wogóle, a pracy fizycznej, jako najrozlewniejszej, w szczególności, przypaść powinno produkujące stanowisko w organizowaniu nowych warunków bytu.

Trzeba przyznać, że nauka ekonomji, rozważając zadania produkcji, nie umiała wytknąć właściwej linii pracy duchowej. Nie zrobił

tego ani Smith, ani jego epigonowie w ekonomji mieszczańskiej. Nie uwzględniono tego również w należytej mierze w teoriach gospodarczych, opartych o zasady socjalizmu. Zagadnienie, które w życiu jest odwieczne, choć teraz narzuca się z nową siłą, w teorii jest dopiero w zawiązku. Porusza je po części syndykalizm francuski, poruszają niektórzy myśliciele i ekonomiści, odnawiający idee t. zw. socjalizmu utopijnego, on bowiem najdawniej próbował wprzódz prawa ducha w reformę społeczno - gospodarczą.

Temat ten tworzy pewien pierwiastek w rozważaniach książki polskiej, która zyskała sobie popularność. „Kapitał” p. Erazma Majewskiego rozszedł się w wydaniu drugim, jak notują księgarze, w kilku tysiącach egzemplarzy. Jest to fenomen w naszych stosunkach wydawniczych, gdy chodzi nie o sensacyjną powieść, lecz o książkę, mającą przynajmniej z pozoru markę naukową. Gdyby przypisać należało to powodzenie poruszeniu przez autora tematu pracy ducha, czyli, jak mówi on, pracy duszy, możnaby w tem dopatrywać się dowodu, że kwestja ta przeniknęła i nasze zainteresowanie intelektualne. Byłby to dowód, że nowe zadania życiowe, które znaczą szlaki nowym ideom, przykuły nareszcie uwagę naszego ospałego czytelnictwa. Niestety, nie ten motyw zainteresował widocznie w książce p. Majewskiego. Przekonamy się bowiem, że autor nie bierze zgoła w obronę zlekceważonych przez życie i naukę praw pracy duszy czy ducha. Napotkawszy w swojej dyalektyce „sociologicznej” na to zagadnienie, próbował p. Majewski zanalizować je, lecz potem jednym rzutem pióra przekreślił jako zbędne i bezprzedmiotowe. Takie są bowiem ostateczne wywody autora.

Co więc w książce p. Majewskiego fascynuje czytelnika? Jak przypuszczać można, fakt, że pewna część panegirycznych recenzentów dostrzegła w nim skuteczny antydot przeciw „Kapitałowi” Marxa. Spróbujmy zbadać, z jakich pierwiastków składa się ta rzekoma zabawna otrutka na jad socjalizmu. Na początku jest kilka założeń, nie pozbawionych daru spostrzegawczości. Pan Majewski postawił słuszną zasadę, że do pracy i do produkcji wchodzi, jako ważki współczynnik, praca ducha, której wyniki są bardzo wydatne, a nie są przez nikogo opłacane, że pomija je przytem ekonomja, a w znacznej mierze i praktyka życia gospodarczego. Bogactwo ludzkie — to dzieło dusz, a dusza — to druga kategoria kapitału. Ludzie oświeceni, ludzie, duchem potężni, puszczają w ruch zaoszczędzone owoce pracy przyrody, a tem samem oni to produkują wielkie dobra gospodarcze.

Dotychczas wszystko mniej więcej w porządku. Ale tezy swe zamienia dalej autor na najbanalniejszy frazes *laissez-faire* yzmu. Zrozumiał wprawdzie, że w pracy, rozpoznawanej przez ekonomistów, nie został należycie zbadany proces psychiczny — ludzka oświata i twórczość, jako część tej pracy, ale autorowi wystarcza w końcu osobliwa refleksja, że „kapitalista” opłaca robotnika (coraz lepiej).

kosztem zbyt słabo opłacanych przedstawicieli mocy duchowych, których jest zbyt dużo na to, aby się mogli drożyć i którzy zresztą, pograżeni w duchowym świecie, dającym wyższe i trwalsze rozkosze, niż daje używanie materialne, nie dbają o większy majątek i chętnie z pogodnym czołem pomnażają bogactwa innym"... Oni tworzą, jak bogowie dla samej przyjemności i żądzy tworzenia". I oto niemal wszystko. Żadnych innych uwag nie nastęcza p. Majewskiemu rozbiór treści „kapitału”. Wbrew Marxowi, autor rozgrzesza kapitał, bo jego zdaniem nie on bogaci się pracą robotnika, zagarniętą przez przedsiębiorcę, kapitał bowiem nie mógłby wcale powstać, gdyby nie owi wielcy duchowi twórcy. „Gdyby nie wielcy, prowadziłyby masę żywot jeszcze o wiele surowszy nad ten, jaki prowadzą”.

Jeśli możnaby uznać książkę p. Majewskiego za dzieło naukowe, należałoby o niej powiedzieć, co wyrzekł niegdyś Lafargue: „Dziś klas robotniczych nie skazuje się na nędzę w imię Boga, lecz w imię wiedzy”. Albo może to, co pisał Spencer: „Ubóstwo nieudolnych, strapienie nierozumnych, upadek leniwych i cały ów prąd silnych, co wypiera słabych i doprowadza tak wielkie masy do nędzy — są to konieczne wyniki ogólnego prawa mądrości”.

Pan Majewski wyprowadza ze swojego rzekomo ekonomicznego rozbioru wniosek, że mądrość „wielkich władców przyrody”, co bezinteresownie rozsypują złoto, nie wchodzi w rachubę gospodarczości, ponieważ oni sami gardzą czynnem ekonomicznym. Gdyby tak nawet było, to nastęcza się pytanie, dlaczego nie widzi on w sferze obecnego ustroju krzywdy fizycznych twórców produkcji i kapitału? Choćby hojność „własność mędrców i cichych pracowników wiedzy” wyrzucana być miała za nawias spraw ekonomicznych, pozostaje jeszcze zagadką, dlaczego ta hojność spływać ma do kieszeni kapitalistycznego przedsiębiorcy razem z nadwartością pracy pracowników fizycznych? Taka sprzeczność zgola nie uderza p. Majewskiego. Z filozoficznym, czy też dobrodusznym spokojem przechodzi nawet do porządku dziennego nad zauważonym przez siebie faktem, że „większość prawdziwych kapitalistów, to przecież nie potężni duchem, tylko sprytni, bezwzględni, pyszniący się, jako barbarzyńcy, bogactwem, które zagarnęli”.

Cała wielomówna książka p. Majewskiego nie jest płodem myśli ekonomicznej. Wiąże on „Kapitał” ze swoją „Nauką o cywilizacji”, ogłasza go jako trzeci tom tej „Nauki” i z prostotą przyznaje, że ekonomja... nie należy do jego dziedzin naukowych. Nie mógł się tylko oprzeć pokusie „przetłumaczenia na język ekonomji wyniku, do którego doprowadził go rozbiór istoty człowieka i natury”, prawdopodobnie ze stanowiska przyrodniczo - socjologicznego.

To nam przypomina, że gdy p. Majewski wydał I tom „Nauki o cywilizacji”, stary socjolog Ludwik Gumpłowicz powiedział, że książka ta posiada prawdopodobnie wartość przyrodniczą, nie posia-

da bowiem wartości socjologicznej, a równocześnie przyrodnicy przenosili walory dzieła do dziedziny socjologii. P. Majewski domaga się w książce swej kontroli swoich dociekań ze strony ekonomistów, ponieważ badał rzecz tylko ze stanowiska nauki o człowieku i cywilizacji, jak pisze. Owóż sumienni ekonomiści, powołani do tej kontroli, musieliby przyznać, że ta książka ekonomicznej wartości nie posiada. Co zaś powiedzą socjologowie i przyrodnicy, nie chcemy przesądzać, bez względu na dawny sąd Gumpłowicza i przyrodników, krytyków pierwszej książki autora.

Popularność „antymarxowskiego“ Kapitału jest jedynie dowodem, że książka posiada tendencje publicystyczne, dogadzające zwolennikom kapitalistycznego ustroju. Temat udziału pracy intelektualnej w produkcji i kapitale został w niej dotknięty tylko pobieżnie, jakby w celu, by przez wtrącenie tego współczynnika do społecznego zagadnienia powikłać problemat i przekreślić całe wielkie społeczne zagadnienie. To też książka ma tę jedyną wartość. Przypomina szczerbę, która jest dotąd niezapełniona w ekonomji społecznej. Kwestję kapitału duchowego nie rozwiążą z pewnością ci badacze ustroju, którzy współczesną organizację społeczną uważają za owoc harmonij przyrodzonej. Jest to już muzyka przeszłości. Tylko ci, którzy rozumieją, że inteligencja tworzy pierwiastek, udoskonalający wszelką pracę czynną, i że jest ona w dzisiejszym układzie społecznym wydziedziczonym proletariatem, tylko ci, którzy wraz z radykalnem przewartkowieniem przeżytej struktury społecznej chcą przetworzyć i ulepszyć pracującego człowieka — nie na korzyść przedsiębiorcy, lecz na korzyść całej kultury i wszechstronnego spożycia — zdołają rozwiązać trudny dylemat pracy ducha. Jest on sam w sobie zagadnieniem niewoli, związanem z ustrojem kapitalizmu, a dającym się rozwiązać wraz z wyzwoleniem wszelkiej pracy.

St. A. K.

Dokument epoki.

Szanowny Panie Pośle!

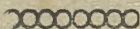
Przedewszystkiem proszę mi łaskawie wybaczyć, że choć nie-majomy i w sprawie czysto osobistej śmiem się zwrócić do Szanownego Pana. Pochodząc z rodziny, która całą duszą lgnęła zawsze do feodalizmu, była uosobieniem prywatny i samolubstwa, która pycha i fałszywą ambicją przodowała naszej polskiej arystokracji, od dziecka wychowywałem się w jej poglądach i zasadach.

Mijały lata bez wpływu na moje młodociane zapatrywania na społeczeństwo polskie. Lecz nagle stało się coś ze mną, co nie było krótkotrwałym porywem młodości.

Wybuchła wojna. Jakby olbrzymim taranem były w te niezłomne rzekomo zasady nędza, nieszczęścia i żniwo śmierci, które jednak przecież głównie klas najniższych dotyczyły. Pieniądz i rodowe imię, jak zawsze, pływały na wierzchu wśród powszechnej niedoli — uchylały się od ciężarów wojny, od orężnej służby w polu, stały bowiem na silnych podstawach protekcji i snobizmu społeczeństw. Z natury nie byłem ofiarnym kozłem, ale sam umiałem roztrząsać zagadnienia, które mi na myśl przychodziły. Zadawałem sobie napróżno pytania, dlaczego jedna nieliczna klasa ludzi daje sobie prawo do używania życia, gdy reszta, pogrążona nieraz w najokropniejszej nędzy, nie śmie nawet zamarzyć o tej dalekiej bajce, o szczęściu. Te i tym podobne zagadnienia zajmowały mnie i w moich przekonaniach patrycjusza robił się wyłom po wyłomie. Wreszcie, jak wolnemu ptakowi, stało mi się duszno w tej klatce herbów i zgnilej tradycji. Po ukończeniu gimnazjum, najpierw w służbie wojskowej zwróciłem się do szczerych, prostych i bez cienia fałszu żołnierskich serc naszego ujarzmionego niemieckim militaryzmem ludu. Spotkałem się z gorącą przyjaźnią i życzliwością wszędzie może dlatego, że nigdy nie występowałem w roli laskawie uszczęśliwiającego grafa, ale jako równy im towarzysz. (Wreszcie, szukając i błądząc, znalazłem prawdę. Stoczywszy formalną walkę z moją rodziną, wstąpiłem do kopalń nafty jako zwykły pracownik, wyrzekając się tytułów i majątku i w twardej pracy wspólnie z robotnikami i towarzyszącami nabierałem ducha wolnego od buty i przemocy. Dziś jestem z serca i duszy socjalistą i tylko szukałem partji, do którejby moje przekonania mnie zbliżyły i pod której sztandarem stałbym się współpracownikiem tej wielkiej, świętej sprawy wolnej, równej i niepodległej ojczyzny. Pańska mowa w parlamencie austriackim była jednym z czynników, która mnie z ufnością i czcią ku Szanownemu Panu i jego towarzyszom zwróciła. Oddaje się Wam, czcigodni towarzysze, z całą energią i serdeczną wiarą młodego 22-letniego Polaka i sprawy Waszej, sprawy odradzającej się chrześcijańskiej wszechmiłości pragnę bronić słowem i czynem i być jej wiernym uczestnikiem. Prosząc o przyjęcie do partji, pozostaje z szacunkiem.

(Podpis).

Październik, 1918 r.



Straszliwa lista.

Komisja polska w Moskwie dla badania archiwów, wywiezionych z Polski podczas ewakuacji r. 1915 ogłasza, jako rezultat swych badań, periodycznie spisy współpracowników „ochrany“, policji i żandarmerji b. Królestwa Polskiego.

Aczkolwiek dotychczasowy spis „ochranników“, zebrany i wydany w specjalnej publikacji *), nie jest zupełny, bo w chwili rewolucji marcowej dużo materiałów zostało zniszczonych przez agentów rządu carskiego, wiele znów materiału jest jeszcze niezbadanego, jednak ta lista wydana w niesłychanie dobitny sposób do nas przemawia.

Nie!

Lista tych nazwisk wszelkich agentów i prowokatorów wprost krzyczy! Bo ten system carski, dla podtrzymania swego zbutwiałego organizmu, wyzyskiwał najciemniejsze instynkty ludzkie, systematycznie zatruwał, deprawował duszę naszego społeczeństwa.

Niech mówi lista:

30) Chodowik Stanisław, syn Jana, pseudonim „Dżarski“, rysownik, służył w warszawskim gub. zarządzie żandarmerji od października 1910 r. Informował o działalności żyrdowskiej organizacji P. P. S. lewicy, o zebraniach i członkach tej partji. Otrzymywał około 10 rubli miesięcznie.

33) Kraszewski Michał, syn Antoniego, pseudonim Walec, tkacz, wstąpił, jako agent do warszawskiego gub. zarządu żandarmerji w 1906 r. Donosił o P. P. S. po rozłamie frak. rew. Otrzymywał do 15 r.b. miesięcznie. W 1910 r. przestał donosić.

62) Lieblich Szymon, agent policji lwowskiej, pseudonim „Anna“, wstąpił do warszawskiej ochrony w 1908 r. Donosił z Galicji o powrocie emigrantów z Warszawy. Między innemi donosił o wykonawcach wyroku na fabrykanta Hantkiego. Otrzymywał miesięcznie 40 r.b. i osobne wynagrodzenie, zależnie od wartości dostarczanych wiadomości.

78) Pieńkowski Józef, syn Piotra, pseudonimy: „S.-D.“ i „Józef“, właściciel domu w Lublinie, odlewnik, pracował od 1907 do 1911 r. w lubelskim gubernjalnym zarządzie żandarmerji, dając wiadomości o partjach P. P. S. i N. Z. R., a także o agitatorach „Bundu“. Otrzymywał do 20 r.b. miesięcznie.

136) Czarnecki Józef, pseudonim „Czarny“, mieszkaniec m. Ciechanowa, gub. płockiej, szewc. Pracował w płockim gub. zarz. żandarmerji. Informował o narodowo - demokratycznej partji i polskim postępowym związku. Otrzymywał po 3 r.b. za doniesienie.

*) „Prowokatorzy ochran i żandarmerji Królestwa Polskiego“. Piotrogród, 1917, str. 32. Nakładem komisarjatu polskiego. Cena 50 kop.

23) Plebiński Tadeusz, syn Józefa, inżynier górniczy. Pracował w warszawskiej ochronie od 1900 r. Pseudonim „Swój” i „Doktor”. Z wiedzą ochrony utrzymywał konspiracyjne mieszkanie partji P. P. S. Przy jego współudziale ochrona aresztowała wielu pracowników partyjnych z literaturą, dynamitem i t. p., odnalazła drukarnię „Robotnika” i t. p. W r. 1907 z polecenia ochrony Plebiński przechodził szkołę polskiej organizacji bojowej w Krakowie. Zdemaskowany przez Bakaja i ogłoszony przez Burcewa, Plebiński w 1908 r. wstąpił, jako agent ochrony, do oddziałów w Nowoczerkasku i Rostowie nad Donem pod pseudonimem „Czerkasow”. Będąc jednocześnie studentem politechniki donskiej, oświeczał nastrój polityczny studentów i wydawał poszczególne osoby. Ostatnie wiadomości Plebińskiego z Nowoczerkaska odnoszą się do r. 1911, w Rostowie nad Donem jest on uważany za współpracownika w r. 1912. O t r z y m y w a ł o d 20 — 100 r. b. miesięcznie.

Jest to tylko parę nazwisk, wziętych przypadkowo z I-ej listy obejmującej 137 osób.

Za 20 — 30 rubli miesięcznie, a nawet za 6 lub 3 ruble policja carska otrzymywała wiadomości! Za 3 ruble brat brata sprzedawał zbiom carskim! Za 3 ruble posyłał go na Sybir lub na szubienicę!

O, niewola sęczy w duszę jad... Co za strasznej trzeba bowiem deprawacji, żeby móc skompletować tak liczny sztab prowokatorów, którzy za judaszowe grosze, wprost grosze — sprzedawali braci.

Nie dość przecie na tym. Wiadomo bowiem, że ochrona niemieckiej okupacji, mająca biuro na Królewskiej, zorganizowała również sztab prowokatorów, któremi byli ludzie z różnych sfer społeczeństwa.

Co się stało z materiałami do tej sprawy? Dlaczego w tej sprawie tak wszystko ucichło? Czy dlatego nie się nie mówi, nie się nie ogłasza, że na usługach policji niemieckiej były osoby z burżuazji i nawet osoby wysoko postawione?

SZTUKA.

Sichulski — wystawa karykatur.

W hotelu „Polonia” otwarta od kilkunastu dni wystawa karykatur Sichulskiego. Gęsto zawieszono ściany dwu sal, dziesiątkami przepysznych karykatur ludzi współczesnych w Polsce. Od Naczelnika Państwa aż do sławnego aktora. Są tu politycy, generałowie, publicyści, malarze, aktorzy: cały światek polski wykpiony nieraz genialnym pędzlem. Talent usprawiedliwia wszystko, a Sichulski ma wielki talent przede wszystkim jako malarz, a potem dopiero jako karykaturzysta.

Rubaszny rozmach jego pędzla chłoszcze, ale i bawi serdecznie, a w wielu razach pobudza do głębszych refleksji. To nie tania karykatura, która polega czasem tylko na wykręcaniu członków „ofiary“, to niekiedy portrety tak doskonale malujące duchowość danego człowieka, że tu malarz jest znakomitym psychologiem.

Reprodukcje niekolorowe karykatur nie oddają całej pełni ich wartości. Bo w kolorze są one nieraz wspaniałe i charakterystyczne.

Kto zna ten świat, który karykaturuje Sichulski, ten spędzi na wystawie nadzwyczajnie miłe chwile i skorzysta nieraz więcej, niż czytając charakterystyki szczegółowe „ofiary“ i ich działalności.

Sprawozdania.

Posel B. K. Przewrót w Polsce. I Rządy Ludowe, Szkic wypadków z czasów wyzwolenia Polski do 16 stycznia 1919 roku. Kraków - Warszawa 1919. Str. 119, nakładem redakcji tygodnika „Prawo Ludu“. Wydał poseł Z. Klemensiewicz.

Nareszcie zjawiała się książka, którą każdy powinien przeczytać.

Zapewne też każdy, kto czytał historję przewrótów europejskich ubiegłego wieku, pamięta te chwile wzruszenia, jakich doznawał przy zapoznawaniu się z dziejami r. 79, 48 czy 70-go.

Otóż takie wzruszenie ogarnia, gdy się czyta kartki książki posła E. K., opowiadającego nam w sposób wyjątkowo obiektywny ten przewrót w Polsce, jakiego tak niedawno byliśmy świadkami i uczestnikami.

Autor, który w opisywanej przez siebie epoce odegrał wybitną rolę, usystematyzował wypadki dziś już dziejowego znaczenia, a tu i owdzie dorzucając fakty mało znane, a nawet znane niewielu osobom, przedstawia nam obraz tego okresu, który zwiemy rządami ludowymi. Okres ten inaczej jest zwany jeszcze rządem Moraczewskiego.

Książka posła E. K. p. t. „Przewrót w Polsce“, to niezwykle cenny dokument, który powinien znaleźć się w rękach każdego Polaka bez różnicy przekonań, ba, każdy z nas powinien się nauczyć na pamięć tych faktów, które tam spokojnie są zebrane i spisane.

Oto więc:

Wtedy, kiedy z jednej strony komuniści informowali władze niemieckie o sytuacji w kraju, Czesi byli o tym samym dokładnie powiadamiani przez endeków, oczywiście ze szkodą Polski. Zarazem ten rząd ludowy, rząd polski, pracujący w niesłychanie trudnych warunkach, był narażony na sabotaż wewnątrz kraju, stosowany przez finansjerę, burżuazję, ziemiaństwo, mieszczaństwo i wszelkie inne paskarstwo.

Szerzył się bolszewizm lewicowy i prawicowy. „Manifest Rządu lubelskiego, zapowiadający demokratyzację, zasadnicze reformy społeczne, rozpo-

czynający śmiało politykę oparcia Polski o polski lud, był dla endecków ciosem w samo serce. Społeczeństwo kółtunów i filistrów zatrząsło się z wściekłości. A tymbardziej, gdy przerażona societa endecka ujrzała, że nowy rząd jest dalszym ciągiem Rządu lubelskiego. Za wszelką cenę należy go obalić. Należy niedopuszczyć do utworzenia rządu demokratycznego, należy niedopuszczyć kobiet do głosowania, należy niedopuszczyć, aby ośmiodziesiętny dzień roboczy — stał się prawem. Reforma agrarna, wywłaszczająca magnatów i szlachtę, walka z paskarstwem i lichwą, kontrola robotników nad zyskami przedsiębiorców, podatek od majątku, a może milicja ludowa i szkoła świecka: oto widma niedające spokoju przywódcom endeckim. Więc rozwijają sztandar z napisem: „Bóg i Ojczyzna“, tak, jakby Bóg potrzebował ich obrony, a ojczyźnie na coś się mogli przydać. Cały aparat prasowy puszczono w ruch. Szlachta ziemska, przemysłowcy, kapitaliści, opodatkowali się nawet wysoko, by tylko zwalić nowy gabinet. Odmówić mu podatków, nie płacić pożyczki, uniemożliwić tworzenie wojska, sabotować w urzędach, zabić, powiesić, poćwiartować.

Ucierpi na tem Polska i tylko Polska! A niechaj! Lepiej niech Polska nie będzie, jeżeli ma być demokratyczna. Wszystko, albo nic. Oto linja wytyczna polityki endeckiej. Sąd surowy, ale prawdziwy“.

I jak prawdziwy!

Pamiętamy. I przecież wszyscy dziś na różnych polach życia społeczno-państwowego skutki tej linii polityki endeckiej odczuwamy dotkliwie.

W takich warunkach, narażony na sabotaż, pracował rząd polski.

Jeżeli „zły, nieudolny, niesprawiedliwy rząd należy zwalczać, to trzeba w walce zachować taką miarę i używać takiej broni, któraby nie godziła w samo państwo, w jego podwaliny. Jasną jest rzeczą, że sabotaż, ta najostrzejsza forma walki, godzi nie w rząd, ale w państwo. Jest to apel do instynktów anarchicznych, już gotowych, istniejących zwartych“.

Tak pisał socjalista, podczas, gdy sabotujący wystawiali hasło „Bóg i Ojczyzna“, aby tym łacniej... przemycać Niemcom zboże.

„Przewrót w Polsce“ jest to jedna z najlepszych publikacji polityczno-historycznych doby ostatniej.

Czytać i rozmyślać należy nad dokumentami tam podanemi.

Wł. W—t.

„Z dziejów prasy socjalistycznej w Polsce“. Praca zbiorowa. Warszawa. 1919, str. 54, cena 2 mk.

Publikacja p. t. „Z dziejów prasy socjalistycznej w Polsce“, z której całkowity dochód przeznaczono na fundusz prasowy P. P. S. jest sensacją na rynku księgarskim.

Literatura monograficzna z dziejów prasy polskiej jest bardzo niewielka: ogranicza się do kilku przyczynków.

Wspomnienia więc z okresu dziejów prasy socjalistycznej w Polsce ujęte w dużą broszurę, wspomnienia pisane przez tych, którzy zakazane za rządów carskich pisma — pisali, drukowali i kolportowali pod grozą utraty wolności, a niejednokrotnie i życia, są niezwykle cenne, jako materiał historyczny oraz niezmiernie ciekawe.

Kto chce się dowiedzieć, w jakich warunkach pisma socjalistyczne się ukazywały, niech zajrzy do tej broszury i niech podziwia entuzjazm tych ludzi idei, których piekielne wprost warunki wydawnictwa nie zrażały, owszem, zachęcały nawet do zwalczania trudności, by pismo wydrukować i puścić w świat dobrą nowinę.

„Z dziejów prasy socjalistycznej w Polsce“, to materiał bezpośredni, niezwykle cenny dla historyka tych czasów i przyszłego historyka prasy polskiej.

Jest to zarazem niezwykle pożyteczna i ciekawa, interesująca książka.

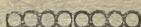
Dość powiedzieć, że czyta się z niesłabnącym zajęciem, jednym tchem: jak romans.

Nadesłane do redakcji.

PISMA.

„Jutro“ Nr. 15 z października r. b. Centralny organ Związku Polskiej Młodzieży Socjalistycznej. Numer ten uległ konfiskacie.

„The British Citizen and Empire Worker“ Nr. 160 z 13 września r. b.



Odpowiedzi Redakcji.

Dr. Stefanji Tatarównie. Za list i słowa życzliwe dziękujemy. Na propozycję zgadzamy się.

TREŚĆ Nr. 1: Od Redakcji. — Błędy, które się mszczą (Externus). — Recepta. — Program skarbowy ministra Bilińskiego (Herman Diamand). — Statystyka. — Syndykalizm inteligentów (Wł. Wolert). — Oleandry (Wacław Sieroszewski). — Z Korfancji. — Sztuka a Socjalizm (Jan Hempel). — Dwa listy. — Max Lindner żyje! — Interpelacja w sprawie nadużyć w Ministerjum Poczty i Telegrafów. — Teatr: „Polityka“ Wł. Perzyńskiego. — Sprawozdania.

TREŚĆ Nr. 2: Republika Lubelska. — Rozwiane złudzenia (dr. Tadeusz Walek). — Ruch robotniczy (Scibor). — Złote serce. — W rocznicę zdarzeń (I. Daszyński). — Kupię. — Teren plebiscytowy na Mazurach. — Charaktery (Zofia R. Nałkowska). — List z Parany (O. A.). — „Gest“ magnaterji polskiej (W. Tr.). — „Kapitał“ duchowy p. E. Majewskiego (St. A. K.). — Dokument epoki. — Straszliwa lista. — Sztuka: wystawa karykatur Sichulskiego. — Sprawozdania. — Czasopisma nadesłane do redakcji. — Odpowiedzi redakcji. — Treść Nr. 1 i Nr. 2.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 11—1 pp.

Wydawca: Spółka wydawnicza „Trybuna“.

Red. odpow. Wład. Wolert.

Odbite w Drukarni „ROBOTNIKA“.